

## Dzień, w którym zostałem goblinem

To było w środę, albo w piątek, a może w niedzielę? Nie pamiętam. Wszystkie wydarzenia tamtego dnia zlały się w chaotyczną papkę, sieć dziwnych wypadków, w którą wplątałem się jak jakaś nieświadoma niczego mucha. Pamiętam tylko łysego indyka, który wepchnął mnie na siłę do samochodu.

- Do you chimpanzee?! Do you chimpanzee?! - Pytał rozgniewany. Do teraz nie mam pojęcia, o co mu mogło chodzić. Oczywiście nie uzyskał odpowiedzi na pytanie, rozzłoszczony uderzył mnie swoją jędrną piersią. Zemdlałem. Śniły mi się kurczaki, udka, wołowina i jeszcze inne wegetariańskie koszmary.

Ktoś chlusnął mi wodą w twarz. Znowu ten indyk! O mój Boże! Kim oni są, ta cała reszta? Znowu zemdlałem. Ktoś chlusnął mi wodą w twarz. Indyk z wiadrem. O nie, znowu oni! Zemdlałem raz jeszcze. Zaczęto mnie policzkować. Oczywiście robił to indyk, swoim łysym skrzydełkiem.

- Wystarczy - usłyszałem gdzieś z oddali. Indyk przestał. Spojrzał mi głęboko w oczy, a później jak gdyby nigdy nic, odszedł. Wymasowałem obolałą głowę.

- Witamy w naszych skromnych progach - powiedział jeden z nich. Wysoki, bardzo interesująco ubrany, a'la moda klubowa... człekokształtny. Twarz jegomości przypominała pomarszczoną gębę neandertalczyka, tyle, że naprawdę była bardzo pomarszczona. Jego skóra miała ciemny, oliwkowy kolor. Oczy, blado pomarańczowego koloru, były wielkie i inteligentne. Zaglądały właśnie w głąb mojej duszy i odkrywały sekrety młodości. To nieprawda, to nie były moje świerszczyki!

- Nazywam się Bob. - Naprawdę bardzo oryginalne imię, jak na taką gębę. Pomyślałem.

- Pewnie pomyślałeś o moim imieniu, bardzo oryginalne, jak na taką gębę, co? - Uśmiechnął się podstępnie. Może faktycznie zajrzał w głąb mojej duszy?

- No, ale nie spotykamy się tutaj, żeby wymieniać grzeczności. Sprawa jest prosta. Musisz nas uratować! Przez nas rozumiem Goblinów. - Ostatnie słowo wypowiedział z wielką emfazą i dumą.

- Goblinów?! - Pierwszy raz po odzyskaniu przytomności udało mi się cokolwiek powiedzieć.

- Przecież gobliny są małe, głupie i... zielone. - Przestraszyłem się własnych słów, zaraz mnie zlinczują!

Bob westchnął. Przez chwilę popatrzył na mnie tak, jak nauczyciel patrzy na dobrego ucznia, który właśnie dostał bardzo złą ocenę. Goblin jeszcze chwilę nad czymś się zastanawiał, po czym zaczął:

- Stary, za dużo Warhammerów. Za dużo Tolkiena, a powtarzaliśmy temu pokrace: John, John, John, Dbaj o nasze public relations człowieciu. Nie jeździmy na wargach, nie znamy żadnych orków. Ale ten pierdziel się uparł, no i napisał bestseller i ma ten film, a my, co mamy? Otóż nic! Trzeba to wyprostować. Dlatego tutaj jesteś.

- Ja?! Co ja mam z tym wspólnego?

- Nic nie masz wspólnego. Jaja, nie? Właśnie o to chodzi! Trzeba jednak zachować wszystko w duchu fantasy, a raczej urban fantasy. Wiesz, niczego nieświadomy współczesny bohater, wplątany w labirynt zdrad i rozgrywek z równoległego świata, przerastających jego najstraszniejsze wyobrażenia.

- A jeżeli się nie zgodzę? - Bob nic nie odpowiedział, jedynie krzyknął:

- Paluch! - Do pomieszczenia wparował jak tornado. Nie kto inny jak... indyk. Znowu ten indyk! W swoich skrzydełkach dzierżył dwa małe toporki. Błyskawicznym ruchem przewrócił mnie na ziemię, używając do tego swojej, jak już to opisywałem, jędrnej łysej piersi. Do mojego gardła przystawił dwa toporki, po czym głębokim, pierwotnym, niskim głosem, pochodzącym jak gdyby nie z jego gardła, a z moich najdziwniejszych snów, z samego jądra podświadomości, krzyknął:

- DO YOU CHIMPANZEE?!?!

- Pomocy!! Rozumiem, rozumiem! Pomocy! Zgadza się! - Zaczęłam wrzeszczeć.

- Super. - Indyk odskoczył. Bob podał mi mapkę. - Tutaj jest plan jak dostać się do ich siedziby. Później już tylko musisz oszukać straż, dotrzeć do skarbcza i skraść plany. Pestka. Jakies pytania?

- ... - Czy ja śnię? O co w tym wszystkim chodzi? Co to znaczy "ich"? Skarbiec? Kiedy ostatni raz prałam spodnie? Wolisz kisiel malinowy czy truskawkowy? Wszystkie pytania przyszły mi do głowy jednocześnie.

- Żadnych pytań? Świetnie. To do roboty. Acha, do pomocy dostaniesz Palucha. Niezawodny z niego kompan.

Indyk, na tyle na ile łysy ptak niełatwo to potrafi, uśmiechnął się do mnie. Podał mi skrzydełko, toporki miał już wsadzone za pas, chwyciłem tę "niby rękę". Nowy "przyjaciel" pomógł mi wstać. Po czym zaczął coś do mnie gdakać.

- Nic nie rozumiem! - Nie chodziło mi tylko o gdakanie. Miałem ochotę się rozplakać.

- Faktycznie, - Bob wyciągnął coś z kieszeni i rzucił w moim kierunku - łap!

W moich rękach znalazła się obślizgła ryba.

- Co mam z tym zrobić?

- Douglasa Adamasa nie czytałeś? Przynajmniej on nic o Goblinach nie napisał. To Ryba Babel, wsadź ją sobie w ucho, działa jak translator.

- Co? Ale ja... - Nie zdążyłem dokończyć. Łysy Paluch wyrwał mi Rybę, po czym błyskawicznym ruchem wbił mi ją w ucho. Przeszywający ból trwał tylko kilka sekund.

- Hej maleńka, skocz na Heńka! - Zaśpiewał Paluch. Nadal do końca go nie rozumiałem.

- Hej maleńka, skocz na Heńka! - Powtórzył Indyk.

- O co ci chodzi? - Spytałem zdezorientowany.

- O nic, jaja sobie robię - odpowiedział zadowolony Paluch.

- A to całe "chimpanzee", o co w tym chodzi?

- Sam nie wiem, jaja sobie robiłem.

- Koniec tych pogawędek, ruszajcie! Do roboty. - Zakomenderował Bob.

- Tak jest szefie, chodź maleńki. - Paluch wyprowadził mnie na zewnątrz. Chciałem spojrzeć na mapę.

- Weź przestań. Nie potrzebujemy jej. - Paluch zachowywał się jakby dobrze znał drogę. W korytarzu skręcił raz w prawo, raz w lewo, po czym się zatrzymał. To tutaj.

- Co!? To po cholere nam ta mapa? Nie wytrzymam, o co w tym wszystkim chodzi?!

- Cicho bądź. Spójrz tam. - Moim oczom ukazał się długi hol, cały wypełniony arkadami. Na samym jego końcu, między dwoma wielkimi filarami, znajdowały się solidne drzwi. Tuż przed nimi stało dwóch strażników. Małe, zielone, ruchliwe stworzonka. Jeden z nich miał paszczę wymalowaną szminką.

- Ale bym ją posunął. - Paluch po prostu musiał to powiedzieć.

- Ją?

- A co, nie podoba ci się. Kiedyś się stary przełamiesz. - Puścił do mnie oczko.

- Nigdy. Te stworzenia wyglądają jak gobliny, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Nie. Nie daj się zwieść. Wasza cywilizacja nazywa je goblinami, ale to są hobgobliny. Nasi odwieczni wrogowie.

- Wrogowie? To dlaczego mieszkacie tak blisko?

- Długo by tłumaczyć. Musimy się dostać do środka. Masz plan?

- Nie możesz ich po prostu załatwić swoimi toporkami.

- Niestety nie. Wiesz, czary, magowie, specjalne pola i tak dalej. Jestem bezsilny. Musisz coś sam wymyślić. W środku już jestem w stanie ci pomóc. Wiesz co, może po prostu tam idź. Nie znają cię. Zagadaj, oni są pokojowo nastawieni do twojego gatunku.

- Serio? - Spytałem z powątpieniem.

- Naprawdę. Wyglądasz na kogoś, komu można ufać. Tak jak mówił Bob, jesteś po prostu zwyczajnym niegroźnym człowiekiem. Idź do nich, ja tutaj poczekam.

Dlaczego go posłuchałem? Nie mam pojęcia. Po prostu ruszyłem, niezdecydowanym krokiem, ku hobgoblińskiej straży.

- Przepraszam? Chciałbym dowiedzieć się... - Tylko tyle zdążyłem powiedzieć. Kamień wystrzelony z procy uszminkowanego hobgoblina uderzył mnie w głowę. Dlaczego do tego czasu nie miałem wstrząsu mózgu? Nie mam pojęcia. W każdym razie znowu straciłem przytomność.

I znowu woda, i znowu wiadro. O! Tym razem to nie był Paluch. To też było łyse, umięśnione i chyba chamskie. Już, już to coś (a było tym razem kogutem, łysym kogutem) chciało mnie uderzyć, gdy podobnie jak u goblinów, usłyszałem głos.

- Wystarczy! - Głos należał tym razem do hobgoblina. Małego, grubego, w dresie. - Kto cię przysłał? Mów, bo wypatroszę cię jak króliczka. - Zaczął mi grozić. Zawsze myślałem, że te wszystkie goblino i hobgoblino to tchórzliwe istoty.

- Bob.

- Bob? Który Bob? - A ilu ich jest, pomyślałem.

- Duży Bob? Taki, co to nie on, taki oj aj oj, jestem taki super i w ogóle Bob. Oliwkowy Bob, Bob?

- Tak, to na pewno on.

- Wiedziałem, kiedyś musiało do tego dojść! - Hobgoblin zaczął płakać, nie żartuję.

- Za co? My chcieliśmy pokoju? Dlaczego cię przysłał? Pewnie chce plany. Chce plany?

- Tak. - Co innego mogłem mu powiedzieć?

- Podstępne hobgoblino!

- Hobgoblino? Przecież to wy jesteście hobgoblino!

- Człowieczasteś do reszty? Czy my wyglądamy jak hobgoblino. Człowieku? W jakim ty świecie żyjesz?! To my jesteśmy Goblinami! - To ostatnie słowo wykrzyczał w wielkim gniewie. To wszystko zaczynało mieć jakiś sens.

- Faktycznie, wyglądacie jak goblino.

- Słyszeliście go?! Wyglądamy jak goblino! - Wrzasnął do towarzyszy. - Nie pozwolimy już im na więcej, a co do ciebie. - Goblin skinął palcem. Kogut zdzielił mnie jędrną pierśią. Świat zaroił się od jędrnych piersi. Tradycyjnie zemdlałem.

Ocknąłem się, o dziwo, bez bólu głowy. Leżałem tuż przy drzwiach gdzie ostatnio dostałem w głowę z procy uszminkowanego goblino-hobgoblino. Obok mnie leżał Paluch. Jęczał. Całe jego ciało było zakrwawione, ktoś obciął mu skrzydełka, swoje dwa toporki miał wbite w korpus.

- Coś ty zrobił? - Spytał szeptem. Słowa przychodziły mu z trudem. Nie zostało mu wiele czasu na tym świecie, czy na tamtym, nie wiedziałem do końca, w jakim świecie byłem.

- Nic nie zrobiłem. Pytali, po co zostałem przysłany i tyle. Potem ich szef bardzo się zdenerwował.

- Głupcze. Doprowadziłeś do wojny. Cała nasza cywilizacja upadnie. Moi bracia! Do you chimpanzee?!?! - Indyk wyzionął ducha.

Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Próbowałem otworzyć drzwi, bez skutku. Waliłem w nie, kopałem. I nic. Nie miałem już przy sobie mapy. Pamiętałem jednak drogę do siedziby goblinów, czy hobgoblinów? Sam już nie wiem. Postanowiłem się tam udać.

Drzwi były otwarte. Bałem się wejść, już w samym korytarzu czuć było zapach krwi. Wydawało mi się, jakbym schodził do Piekła. Jak tylko przestąpiłem próg siedziby zebrało mi się na wymioty. Wszędzie było pełno ciał, zielonych i oliwkowych. Odrąbane kończyny walały się po kątach. Na ścianach było pełno krwi. Zauważyłem ciało Boba, pokrojone na kawałki.

- Pomocy! - Usłyszałem kobiecy głos dobiegający z jednego z pomieszczeń. - Pobiegnę tam bez zastanowienia.

- Pomocy! - Głos należał nie do kobiety, a do hobgoblinki, a może goblinki? Gdy tylko mnie zauważyła zaczęła krzyczeć. - Coś ty narobił! Zdrajco, morderco! Przez ciebie wszyscy wytlukli się nawzajem. Nie mam pojęcia jak udało mi się przeżyć.

- Wszyscy nie żyją?

- Jeszcze się głupio pytasz?! Doszli w walce do poziomu magii meta-ofensywnej, wszyscy zginęli. To jest koniec goblinińskiej cywilizacji!

- A hobgoblini?

- Jacy hobgoblini, co ty wygadujesz, człowieku!

- Oni mówili, że jesteście hobgoblinami.

- Nie! Wszyscy jesteśmy Goblinami. - Powiedziała z dumą. - Byliśmy... To przez was, przez ludzi, doszło do tego głupiego, językowego podziału. Hobgobliny nigdy nie istniały! Kiedyś byliśmy jednością, potem, przez was, utworzyły się klany. To już jest koniec!

- Nie, to niemożliwe! Musimy coś zrobić. Ja nie chciałem, ja nie chciałem! - Zaczęłam krzyczeć. - Musimy coś wymyślić.

- A co niby mamy zrobić?! Jestem ostatnią żywą Goblina! Nie jestem w ciąży...

- W ciąży! - Krzyknąłem. Pamiętałem słowa Palucha "Kiedyś się stary przełamiesz". Miał rację.

- O co ci chodzi?

- Muszę zrobić ci dziecko, to jedyna szansa.

- Nie oddam się człowiekowi. Zostaw mnie tutaj, morderco!

- Nie rozumiesz, musimy ratować twój gatunek, to jedyna szansa. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale co innego możemy zrobić. - Zapadła długa cisza.

- Dobrze. - Odpowiedziała goblinka.

Zrobiliśmy to w pokoju, gdzie ją znalazłem. Zapach krwi zabitych goblinów unosił się nad nami. Twarz miała przerażającą, ale ciało całkiem, całkiem. Wszystko na swoim miejscu, tylko w poprzek. Nie wiem, czy było jej przyjemnie. Ja sam nie wiem, jak dałem radę w takich warunkach. Po akcji, gdy tylko skończyliśmy, usłyszałem odgłos klaszczących dłoni.

- Co się dzieje?! - Spytałem zdezorientowany. Goblinka, z prześmiewczym uśmiechem na gębie, odepchnęła mnie i wybiegła z pomieszczenia. Odgłos klaszczących dłoni przybierał na sile. Doszły do tego wiwaty, słychać było śmiech. Nie wiedziałem, co się dzieje. Wyszedłem z pomieszczenia.

- A nie mówiłem, że się przełamiesz! - Tuż za progiem stał Paluch, cały we krwi. Z toporkami wbitymi w korpus, ale jakoś mu to nie przeszkadzało. Dalej zauważyłem Boba, i tego drugiego szefa.

- Witaj wśród swoich. - Powiedział Bob. Wszystkie gobliny zaczęły się śmiać. - Spójrz na siebie. - Zrobiłem to. Moje ręce były oliwkowe! Dotknąłem swojej twarzy, była pomarszczona.

- Niiieeeee! - Zaczęłam krzyczeć.

- Spokojnie, teraz jesteś jednym z nas. I tak nikogo nie miałeś wśród swoich, teraz to my jesteśmy twoją rodziną.

- Witaj! Witaj! - Rozległ się okrzyk.

- Ale dlaczego? Dlaczego!?!

- Po prostu zostałeś wybrany. Teraz już wiesz, jak rozmnażają się gobliny. Wiesz, jak wygląda nasz rytuał przejścia.

- Porwaliście mnie, abym był jednym z was? To wszystko było częścią planu.

- Tak. Goblin nikogo nie może zmusić siłą do stosunku, stąd ten rytuał. Przecież sam chciałeś spłodzić jej dziecko. Teraz jesteś jednym z nas.

- I co dalej?

- Zostajesz tutaj. Cierpimy ostatnio na niedostatek nowych sił.  
Nie wiem dlaczego, może tak działa proces przeistoczenia, ale spodobała mi się myśl bycia jednym z nich.

Następne dni upływały mi na przyuczeniu do fachu. Chcecie wiedzieć, dlaczego często w pralce znikają skarpetki? To my. Porwani przez UFO? Wolne żarty! To my. Urowadzenia i znikający ludzie. To też my. Dopóki, dopóty istnieje wasza cywilizacja, istnieje nasza. Kiedyś mówiliście o nas samojady, chochliki, diabły. Mieliśmy wiele nazw, ale zawsze tę samą formę.

A może chciałbyś być jednym z nas?

Obejrzyj się za siebie.

DO YOU CHIMPANZEE?

Michał Żebrowski